

ROZDZIAŁ 2

Tego dnia poranek był dość chłodny. Słońce musiało zaspać, bo przez chmury nie przebijał się żaden promyk. W powietrzu wisiała dziwna atmosfera. Ciężkie powietrze zwiastowało coś niedobrego. Nawet ptaki przestały śpiewać, a uliczny kundel skomlał pod nosem bez powodu.

Richard Murray zatrzymał się przed budynkiem i wysiadł ze swojego starego audi w kolorze bieli. Ubrany w długi płaszcz męczyzna stał niepewnie przed komendą policji. Sam nie wiedział, czemu tak dziwnie się czuje. Jego instynkt nie podpowiadał mu, że to będzie dobry dzień, ale zawsze mógł się mylić. Murray przetarł dłonią kilkudniowy zarost, zawahał się jeszcze przez chwilę i zważym krokiem skierował ku szklanym drzwiom wejściowym. Jego nażelowane, zaczesane do tyłu włosy, pewne spojrzenie i dobrze zbudowane ciało – to właśnie podobało się miejscowym kobietom, choć nigdy mu się nie narzucały. Zbliżał się do czterdziestki, więc nie był jeszcze stary; do tego nie miał żony i dzieci. Nosił w uchu kolczyk, to był jego styl,

w pewnym sensie wyjątkowy jak na spokojne i nieco staroświeckie Anterrey.

- Dzień dobry, Richardzie!

Usłyszał to pięć czy sześć razy, zanim dotarł do swojego biurka. W pomieszczeniu atmosfera wydawała się luźna, trwały rozmowy i śmiechy, ale tak naprawdę każdy działał i nikt się za bardzo nie obijał. Richard zdjął prochowiec, przewiesił przez oparcie i rozsiadł się na krześle. Jasną koszulę opinała brązowa kabura z pistoletem, chyba bardziej dla szpanu niż z konieczności. Murray włączył komputer i gapił się w wyłączony monitor, próbując się obudzić.

- Może kawy? - Nieznajomy stał nad nim z ręką w kieszeni. W dłoni dzierzył plastikowy kubek z parującym napojem.

- Już jedną wypilem, ale dziękuję! To już kawę za darmo do każdego biurka donoszą? - Wyciągnął rękę na przywitanie. - Richard Murray, miło mi.

- Steve Smith. - Szczupły, rudowłosy mężczyzna z przerzedzonymi włosami zaczesanymi na bok odwzajemnił uścisk. - Kupiłem cappuccino, ale maszyna nałała mi czarną, a nie chciałem wylewać. Poza tym chciałem się przedstawić. Szef przeniósł mnie dzisiaj z parteru na pierwsze piętro i przydzielił biurko obok. Mówił, że będziemy pracować razem.

- Co ci się stało w rękę? - Spostrzegawcze oko Richarda dostrzegło czerwone zadarcie po wewnętrznej stronie dłoni.

- To? - Steve spojrzał na ranę. - Wypieprzyłem się wczoraj przy wieczornym joggingu. Zdarta ręka, zdarte kolano i dziura w ulubionym dresie. Uroki biegania po ciemku w lesie.

- To zacznij biegać o świcie. Przynajmniej się nie zabijesz.

- Może i tak, ale wiesz, mieszkam sam, więc nie ma mnie kto wykopać z łóżka o tak wczesnej porze! - Pokiwał głową. - Zresztą, jestem tu dopiero od dwóch miesięcy, więc dobrze poznać miasto o każdej porze dnia i nocy.

- No proszę, nowy mieszkaniec Anterrey. - Richard przedłużał rozmowę, przelękając kawę. - Więc w naszej komendzie też od niedawna?

- Od sześciu tygodni, ale dopiero teraz wylądowałem tutaj, gdy szefowi się przypomniało, że mam spore doświadczenie w prowadzeniu śledztw. - Steve miał sympatyczną twarz i robił dobre wrażenie.

- Jakież wieści na temat zaginionego księdza?

- Na razie nic nowego. Znasz Anterrey lepiej niż ja. Tu ludzie zawsze się niepokoją, nawet jak nie mają ku temu najmniejszych powodów. Znajdzie się!

W tym momencie otworzyły się drzwi do gabinetu komendanta. Stał w wejściu do swojego biura, oddzielnego od reszty pomieszczenia ścianą z szeroką prostokątną szybą. Każdy z zewnątrz mógł widzieć, co dzieje się w środku i w jakim humorze jest szef tego dnia. Łysy, krępy, w białej koszuli i czarnych spodniach, wyglądem przypominał czarnoskórą wersję serialowego Kojaka. Spojrzał

na Richarda i skinieniem głowy zaprosił go do siebie. Murray ruszył się z miejsca i po chwili siedział już przy jego biurku. Papiery i foldery walały się na blacie, zasłaniając tabliczkę z imieniem i nazwiskiem: Danny Jones.

– Nie zajmę ci dużo czasu, więc tak się nie rozsiadaj – rzekł stanowczo Danny.

– Jakież wieści o ojcu Malcolmie? – zapytał Richard z nadzieją w głosie. – Mam nadzieję, że jest cały i zdrowy!

– Nic! Przepadł bez wieści. Znajomi też nie mają pojęcia, gdzie jest. Póki co podstawili jakiegoś młodego księdza, żeby odprawiał msze w niedziele, ale gość nie ma posłuchu wśród wiernych.

– To naprawdę dziwne! Musi się znaleźć, bo ludzie zaczynają się niepokoić – stwierdził Richard.

– Ale nie po to cię tu wezwałem! – Uśmiech nieczęsto gościł na twarzy Danny'ego i tym razem nie należało się go spodziewać. – Mamy kolejne zaginięcie! Młoda kobieta, Tatiana Zharkova, lat trzydzieści.

– Tatiana Zharkova... – wyszeptał w zamyśleniu Richard. Jego twarz pobladła w mgnieniu oka. – To trzecia osoba w ostatnim miesiącu! Co się tu dzieje, do cholery?

– Znałeś ją? Wyglądasz, jakbyś się postarzał o co najmniej dziesięć lat!

– Dziewczyna z sąsiedztwa. Mieszka tu od niedawna. Tyle wiem. – Richard dochodził do siebie.

– Na razie nie wiemy, od kiedy jej nie ma, ale się dowiemy. W miejscu pracy powiedzieli nam, że jest na urlopie. Tu masz jej zdjęcie. – Danny wyciągnął przed siebie rękę z fotografią w dłoni. – Dostaliśmy je od

kobiety, która zgłosiła zaginięcie. Zajmiesz się tą sprawą, bo reszta zajmuje się Malcolmem i tym cholernym chłopakiem. Ten ostatni jest w tej chwili priorytetem, ale póki co przydzielam cię do tej sprawy. Aha, byłbym zapomniał! Od dzisiaj będziesz współpracował ze Steve'em. To policjant z Walii, jest u nas od niedawna. Ma doświadczenie, myślę, że się zgracie.

– Tak, wiem. Zdążyliśmy się już poznać.

– Jakby co, jestem pod komórką dzień i noc. Informuj mnie o wszystkim. – To powiedziaławszy, Jones zakończył rozmowę z podwładnym.

– Jasne, szefie! – Richard wyszedł z gabinetu i wrócił do biurka.

Obejrzał zdjęcie. To była ona. Siedziała na podłodze wśród porozrzucanych zabawek z jakimś chłopcem z zespołem Downa. Wyglądała tak uroczo jak wtedy, gdy się poznali. Wyciągnął komórkę z kieszeni prochowca i otworzył listę kontaktów. Ten numer wciąż tam był. *Tatiana*. Wcisnął ikonę słuchawki i połączył się z automatyczną sekretarką: „Nie mogę w tej chwili odebrać. Oddzwonię, kiedy będę wolna”. Aksamitny głos przywołał twarz dziewczyny przed oczy Richarda.

Odłożył telefon na biurko i oparł się o krzesło. Poczuł, że opada z sił. Nie wiedział, co go bardziej zdenerwowało – fakt zaginięcia trzeciej osoby w ciągu mniej więcej dwóch tygodni czy może to, że ostatnią zaginioną była właśnie Tatiana. Ta Tatiana! To był naprawdę dziwny miesiąc. Najdziwniejszy w jego karierze. W Anterrey ludzie nie znikali, a przynajmniej do teraz. Ktoś zniknął

tylko wtedy, gdy umierał, tak jak w każdym innym miejscu na Ziemi, nigdy inaczej. Trudno przypuszczać, by ktoś z mieszkańców mógł się dopuszczać porwań czy morderstw. Przekłeta apatia, jaka się udzielała każdemu w tym mieście, nie pozwalała na zrobienie niczego ponad codzienne obowiązki, a już na pewno niczego tak wyrachowanego i skomplikowanego jak uprowadzenie czy może zabójstwo. Drobne wykroczenia na granicy przestępstw i sporadyczne stłuczki na ulicach to wszystko, na co było ich stać.

Richard Murray rozpoczął poszukiwania Tatiany Zharkovej. Odwiedziny w szpitalu nie przyniosły rezultatu. Nikt w ostatnim czasie pod tymże nazwiskiem nie został przyjęty na oddział. Nikt też nie był umówiony na wizytę. Mylny trop – to było raczej oczywiste. Nie spodziewał się znaleźć zaginionej tak od razu. Inni też jeszcze się nie znaleźli. Rzecz jasna, mógł zadzwonić do szpitala. Tak byłoby łatwiej i szybciej, ale wolał wyjść z komendy. Twarz mogła coś zdradzać, a nie chciał się narażać na pytania lub komentarze kolegów. Wsiadł do auta na szpitalnym parkingu i otworzył notes. Odnotował brak jej nazwiska w szpitalnym rejestrze. Nie było też żadnych pacjentów o nieznannej tożsamości.

Podrapał się po zaroście i wpatrzył w dal. W dłoni trzymał zdjęcie Tatiany. Wracał w myślach do dnia, kiedy się poznali. To była bardzo atrakcyjna kobieta. Tamtego wieczoru dręczyła go migrena. Na dodatek przez cały dzień miał pecha. Najpierw spóźnił się do pracy, potem na spotkanie z szefem. Dochodziła dwudziesta

dziesięć. Apteka była już zamknięta, ale w środku ktoś jeszcze się krzątał. Szarpnął za drzwi. Przysunął twarz do szyby. Widok przymrużonych oczu i spłaszczonego nosa na szkle musiał wyglądać komicznie od drugiej strony. Mężczyzna w potrzebie wzbudzał litość niczym smutny pies na deszczu szukający schronienia.

- Przepraszam, ale apteka jest już zamknięta. - Drzwi uchyliły się, a w szparze pojawiła się młoda twarz kobiety. Zwróciła uwagę na policyjną oznakę.

- Uratuje mi pani życie, jeśli tylko dostanę paczkę aspiryny. Głowa mi pęka - mówił z lekką desperacją w głosie.

- Zamknęłam już kasę, ale proszę wejść.

Richard wszedł do środka. Ból głowy nie pozwalał mu się skupić na czymkolwiek.

- Dwie na miejscu, reszta na wynos - zebrał się na żart. - Ile się należy? - Wyciągnął piątkę z portfela i podał kobiecie przez okienko.

- Właśnie tyle.

Aptekarka uśmiechnęła się nieśmiało. Dopiero teraz detektyw zauważył, że ma do czynienia z naprawdę piękną kobietą. Aż dziwne, że nie spotkał jej tu nigdy wcześniej, bo apteka była mu jak najbardziej znana.

- Dziękuję. Uratowała pani życie funkcjonariuszowi. - Humor znacznie mu się poprawił. - Nie będę zabierał już więcej czasu. Na pewno się pani spieszy.

Młoda kobieta zerknęła przez ramię Richarda. Przejeżdżający autobus nie zatrzymał się na pustym przystanku, minął aptekę.

- Już nie. Właśnie uciekł mi autobus - westchnęła głęboko kobieta.

- Odwiozę panią, jeśli to nie problem - zaproponował. Przytłaczała go jej uroda, choć nie dawał tego po sobie poznać.

Zapadła chwilowa cisza. Aptekarka wpatrywała się w oczy Richarda.

- Czy zna pan ulicę Rocha?

Murray odchylił głowę w zdziwieniu. Myślał, że żartuje.

- Ulica Rocha? Mieszkam na samym końcu! Wygląda na to, że jesteśmy sąsiadami.

Tak rozpoczęła się znajomość. Krótka, ale Richard jeszcze wtedy o tym nie wiedział. Reszta potoczyła się zwyczajnie. Ciekawa pogawędka w samochodzie, wymiana numerów telefonów oraz zaproszenie na kawę po sąsiedzku w kolejny weekend, w domu Tatiany. Detektyw nie spodziewał się takiego końca dnia. Usiadł na kanapie w swoim salonie kompletnie oczarowany i zaskoczony. Zaskoczony, bo już od dawna nikt go nie zauroczył; nie spodziewał się też poznać tak pięknej kobiety, i to ze swojej ulicy. Oczarowany, bo w zachowaniu Tatiany widział podobieństwo do swojej dawnej dziewczyny. Pomimo wrażenia, jakie na nim wywarła, nie chciał sobie niczego obiecywać. Jeszcze nie teraz. Wszak wiedział o niej naprawdę niewiele.

W sobotę wieczorem, ubrany w niebieską koszulę i czarne spodnie, siedział na kanapie w domu Tatiany i rozglądał się po pokoju.

- Dziękuję za zaproszenie. Ależ te dni szybko minęły. Już mamy sobotę.

- Mówią, że im starszy jesteś, tym szybciej płynie czas. To prawda? - Postawiła filiżanki z herbatą na szklanym stoliku i usiadła na drugim końcu kanapy.

- Powinnaś znać odpowiedź na to pytanie. Nie jestem dużo starszy od ciebie - ripostował z wdziękiem.

- Trzydzieści osiem? - szacowała wiek, ostentacyjnie oglądając jego twarz ze wszystkich stron.

- W tym roku stuknie mi trzydzieści dziewięć. Ty pewnie masz koło trzydziestu.

- Dokładnie tak! Trzydzieści. Intuicja detektywa czy może sprawdziłeś mnie w bazie komputerowej? - pozwoliła sobie na żart.

- Powinnaś była zostać dziennikarką, nie aptekarką - odparł wymijająco.

- Może w kolejnym wcieleniu - rzekła z uśmiechem.

Sporą część ściany w głównym pokoju pokrywały antyramy z fotografiami ptaków, roślin w zbliżeniu i zjawisk naturalnych. Na innych zdjęciach twarze ludzi pochłonięte codziennymi obowiązkami prowokowały do przemyśleń. Mieszkanie było bardzo małe i stanowiło jedynie przybudówkę do głównego budynku zajmowanego przez właścicieli. Pokój z kuchnią, łazienka oraz sypialnia na piętrze - tanie i przytulne, ale nie na zawsze. Tatiana nie była wyniosła ani przesadnie skromna. Normalna dziewczyna z sąsiedztwa o nieprzeciętnej urodzie i świetnym poczuciu humoru. I właśnie jej zachowanie było czymś, co tak bardzo urzekło

detektywa. Przypominała mu jego dawną miłość. Tatiana nie była też pedantką. Luźny komplet, wyglądający na sportowy dres, zwisał niedbale przewieszony przez krzesło w kuchni. Był jeszcze jeden ciekawy szczegół, który nie umknął uwadze Richarda. Dwie fotografie w ramach na parapecie, a na nich Tatiana i nastolatek z zespołem Downa. Trzecia ramka obok leżała płasko, zdjęciem na dół. *Nieuwaga czy celowe działanie?*

– Skąd tu przyjechałaś?

– Z Nowosybirsk w Rosji. Tam się wychowałam i skończyłam farmakologię. Ale po studiach zaczęłam odczuwać brak satysfakcji. Czegoś mi brakowało, bym mogła czuć się spełnioną.

– A dlaczego przyjechałaś właśnie do Anterrey?

Tatiana zamyśliła się, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie wiem. Może to kobieca intuicja, może jakieś przeczucie. Od dłuższego czasu coś chyba ciągnęło mnie do tego miejsca, jakbym miała nagle zrealizować swój główny cel w życiu. Trudno to wyjaśnić racjonalnie, ale jednak coś w tym jest. Z drugiej strony odnoszę nieraz wrażenie, że niewiele czasu mi zostało w Anterrey, więc kto wie, może wkrótce już mnie tu nie będzie.

– Ludzie mówią, że to magiczne miasto, cokolwiek mają na myśli – wtrącił Richard.

– I chyba mają rację. Widzisz, kiedyś, jak byłam mała, miewałam koszmary. A właściwie tylko jeden, wciąż ten sam. Sen powtarzał się co jakiś czas. Za każdym razem jedna scena. Zawsze te same trzy osoby stały nade mną,

z rozbitą butelką w ręku, a ja myślałam o chorym dziecku. Nie wiem, co to było za dziecko, ale wiem, że o nim myślałam i bałam się o nie. Sny nigdy nie ustały, jedynie straciły na częstotliwości. Przypominały o sobie co jakiś czas. Zmieniły się na lepsze, gdy przyjechałam do Anterrey. To nie jest już ten sam koszmar, co przed laty. Najpierw było trzech oprawców, potem dwóch, a teraz tylko jeden. – Tatiana zamyśliła się na chwilę. – A więc mój przyjazd tutaj i to, co teraz robię, chyba ma sens. Nawet jeśli to tylko wybawienie od uporczywego snu.

– Życie w Anterrey udziela się każdemu. Nie zrozumie tego ktoś, kto tu nigdy nie mieszkał.

– To prawda. Niby takie same, a jednak inne w jakiś tajemniczy sposób. Pracuję, poznaję ludzi, tak jak kiedyś, ale coś mi mówi, że to nie są przypadki, że jakaś siła przedstawia mi osoby, na które czekałam przez całe życie! Poznałam tu pewną dziewczynę, Sofię Weber, która ma syna z zespołem Downa. Też mieszka na naszej ulicy, w pierwszym domu po prawej. Chłopiec ma na imię Jim. Bardzo go polubiłam. Do tego stopnia, że traktuję go prawie jak własne dziecko. Pomagam mu w lekcjach w każdy piątek. Odkąd go znam, o wiele lepiej sypiam.

Richard wpatrywał się w jej oczy i usta. Słuchał jej ciepłego głosu. Brzmiał inaczej, niż kiedy rozmawiali po raz pierwszy w aptece czy w samochodzie. Był bardzo urzekający; może nieco dziecięcy jak na kobietę w jej wieku, ale w tej chwili był aksamitem muskającym jego skórę. Siedziała podkulona, wciśnięta w kanapę, rozpuszczone włosy opadały na plecy. Uważny wzrok

detektywa dopatrył się kolejnego szczegółu. Skrawek plamy na skórze zaczynał się na ramieniu i spływał pod dekolt koszulki. Nie wyglądał na bliznę ani na ranę, bardziej na rozległe znamię.

- A ty, Richard? Lubisz to miasto? - przerwała ucztę wzrokową swojego gościa.

Murray zagłębił się spojrzeniem w jej oczach.

- Sam nie wiem. Anterrey zawsze było smutne. Apatia, szarzyzna, przygnębienie to tutaj codzienność. Ale ostatnio jest zupełnie inaczej. Ciemniej, bardziej złowrogo.

- Jak to? - spytała z niepokojem Tatiana.

- Powiem ci coś, co i tak niedługo wyjdzie na jaw. W miasteczku zaginęły dwie osoby w odstępie dwóch lub trzech dni. Mężczyzna i dziecko. Zupełnie ze sobą niespokrewnieni. Pracuję tu prawie dziesięć lat, ale nigdy nie zajmowałem się czymś tak poważnym. Coś złego zaczyna się tu dziać. Tu nikt nigdy nie zniknął, nikt nie wyjeżdżał bez niczyjej wiedzy. Chyba nawet śmierć przychodziła zapowiedziana. - Oboje zaśmiali się w tej chwili.

Richard powrócił do terażniejszości. Wciąż siedział w samochodzie na przyszpitalnym parkingu. Przypomniał sobie uśmiech Tatiany tamtego wieczoru. Uśmiechała się wtedy jeszcze nie raz. Wbrew jego cichej nadziei do niczego nie doszło. Niemniej spotkanie było obiecujące. Pożegnali się jak dobrzy znajomi, przyjacielskim uściskiem. Stanęli przed sobą twarzą w twarz, jego dłonie z wolna puszczały jej talię. W jej

oczach zobaczył nowy świat. Jej pełne usta być może czegoś chciały, lecz nie mówiły nic. Miał zaledwie kilka sekund, by zwińczyć spotkanie pocałunkiem. Nie zrobił tego. Nie chciał psuć pierwszego wrażenia. Być może i ona wcale tego nie oczekiwała. Ale nigdy się o tym nie przekonał. To była niezwykle sympatyczna dziewczyna, a pierwsze wrażenie okazało się piorunujące. Ciekawiło go, czy kogoś miała. Prawdopodobnie nie, ale istniało takie prawdopodobieństwo, a on nie chciał pchać się na trzeciego. Ta kwestia jeszcze długo chodziła mu po głowie. Powinien był zapytać, dla świętego spokoju. Dzień później wysłał uprzejmego SMS-a z podziękowaniami za miły wieczór i sugestią wspólnego drinka w kolejny weekend. Odpowiedź była z humorem, w jej stylu: „To ja dziękuję, Richardzie! Jesteś przemiłym facetem. Policjantem, ale z głębią! Pod tym względem jesteś chyba wyjątkiem. Co do drinka, to z wielką przyjemnością. Na pewno ci go nie odpuszczę! Odezwę się przed kolejnym weekendem. Obiecuję! Uściski”. Czekał, nie chciał się narzucać. Ale Tatiana nie dotrzymała obietnicy, już więcej się nie odezwała.

W kieszeni jego prochowca zadzwonił służbowy telefon. To już nie był ten sam spokojny Steve.

- Richard! Przyjeżdżaj na ulicę Dawkinsa. Tam, gdzie jest ta pusta szwalnia na peryferiach. Nie uwierzysz, dopóki tego nie zobaczysz.

Znaleźli Tatianę! Czarne myśli przebiegały mu przez głowę. To nie mogła być prawda. Bardzo chciał się z nią jeszcze spotkać. Pragnął się do niej zbliżyć. Los musiał

mu dać tę szansę. Dużo sobie obiecywał po ich spotkaniu, może za dużo. Ale chciał się przekonać, czy była jakaś nadzieja. *A może faktycznie kogoś miała?* Otworzył okno, szybkim ruchem ręki wystawił koguta na dach i ruszył z piskiem opon.

Na przedmieściach kilka radiowozów i samochód koronera zaparkowały niedbale pod budynkiem, tarasując część drogi. Asfaltówka była ślepą uliczką. Nikt z niej nie korzystał. Tam, gdzie kiedyś mieściła się potężna szwalnia, teraz pozostał jedynie surowy budynek z czerwonej cegły z powybijanymi szybami w dużych, podłużnych oknach. Zamknięty od ponad sześćdziesięciu lat straszyl wyglądem.

Był środek dnia, ale policyjne światła widać było z daleka. To był bardzo niecodzienny widok dla każdego policjanta w tym mieście. Dla wielu zapewne pierwszy w karierze. Taka liczba radiowozów w jednym miejscu musiała oznaczać coś bardzo poważnego. Detektyw również zdawał sobie z tego sprawę, ale nie mógł podejrzewać potworności kryjącej się w starych murach budynku. Coś, co przejawiało się dotychczas w atmosferze miasta, miało teraz swój wygląd, zapach i konsystencję. Obrazy, które miał zobaczyć, pozostaną z nim już na zawsze.

Samochód zaparkował na uboczu, po drugiej stronie dziurawej jezdni. Przy pojazdach stało kilku policjantów i sanitariuszy. Dwóch kolegów Richarda przysłuchiwało się pod murem brudnej kobiecie w łachmanach. Tłumaczyła coś z zapartym tchem, żywo gestykulując. Z każdym kolejnym krokiem słyszał ją coraz wyraźniej.

- Tu prawie nigdy nikogo nie ma, więc ten, kto to zrobił, miał wolną rękę. Jak tu teraz nocować? Takie znalezisko... W tej wannie to nawet kiedyś spałam. Jest nas troje, przychodzimy tu bardzo rzadko, bo zwykle śpimy w opuszczonej ruderze po drugiej stronie miasta... Za dnia to tylko szczury tu biegają. Na pewno wszystko widziały...

Richard Murray podchodził bez słowa z rękami w kieszeniach prochowca. Nie odzywał się do nikogo, jeszcze nie teraz. Wsłuchiwał się w atmosferę miejsca, chłonął wzrokiem każdy szczegół. Minął ostatni radiowóz i stanął prawie na wprost do budynku. W tym samym momencie chwiejnym krokiem wyszedł z niego młody policjant z dłonią na ustach. Po chwili posłał porcję wymiocin na kępy trawy. Jeszcze nie zdążył się wyprostować, a kolejna fala ochlapała mu but i nogawkę. Murray wykrzywił twarz.

Za drzwiami do pustostanu znajdowało się obszerne pomieszczenie, a dalej kolejne. Miejsce na co dzień milczące, dziś było punktem zgromadzenia prawie połowy posterunku. Echo rozmów odbijało się od ceglanych ścian, fragmentów maszyn do szycia i porzucanych po kątach resztek mebli. Ponumerowane stojaki do znaczenia materiału dowodowego na miejscu przestępstwa rozproszyły się po betonowej posadzce. Jeden, bardzo szczególnie, zatrzymywał na dłużej uwagę każdego, kto tędy przechodził. Biała czwórka na czarnym tle stała przy zielonym bucie. Rozmiar nie pasował do osoby dorosłej. Musiał należeć do kogoś bardzo młodego.

Niemal na środku grupa policjantów w maskach szczelnie zapinała białe kombinezony i przypatrywała się czemuś, czego z daleka Richard nie mógł jeszcze rozpoznać. Gdy podchodził bliżej, przestrzeń między policjantami poszerzała się. Stary pojemnik w kształcie wanny na czterech nogach przybierał coraz wyraźniejsze kształty. Pod nią leżał niewielki stos spalonych desek. W nozdrza Murraya wdarł się nieprzyjemny zapach. Trzy kroki później przerodził się w fetor. *Ciało!* Odór. Mdły, przejmujący, z nutką słodczy. Trudno opisać jego intensywność. To jak włożyć dwa kilogramy surowego mięsa do wiadra, zamknąć, zostawić na słońcu, po dwóch tygodniach włożyć tam głowę i porządnie się zaciągnąć.

Jeszcze dwa kroki i zobaczył wszystko. Zobaczył, ale niczego nie pojmował. Gęsta ciecz w odcieniach brązu i czerni wypełniała całą wannę. Wynurzone skrawki odzieży stały w bezruchu w odrażających odmętach. Chmara much bzyczała nieznośnie nad breją; owady uderzały o twarze ludzi wokół, siadały im na ramionach. Spod powierzchni wynurzało się kolano, przebarwione rozkładem. Stopa, pozbawiona buta, okryta cienką skarpetką i oparta o krawędź pojemnika, wystawała z gęstej, śmierdzącej cieczy. Richard poczuł ścisk żołądka. Odruchowo schował nos i usta w rękaw prochowca.

- Co to jest, do cholery? - krzyknął przez rękaw do grupki policjantów.

- Chyba znaleźliśmy naszego chłopaka, Richard - zza pleców dobiegł głos Steve'a, kolegi z biura. Jego głos brzmiał inaczej, wydobywał się spod białej maski.

Mężczyzna podszedł do detektywa. W wysuniętej dłoni trzymał jeszcze jeden ochraniacz na usta i nos.

- Skąd to wiecie? - Richard przyłożył maskę do twarzy. Nie była całkowicie szczelna, ale pozwalała swobodnie oddychać.

- Tamten zielony but na ziemi i materiał w wannie. Wygląda na kurtkę. Wszystko pasuje do opisu Simona Alvareza. - Steve najwidoczniej wcześniej przyjrzał się miejscu zgonu.

- Wiadomo, jak zginął? Jakoś nie mogę tego ogarnąć. - Murray badał wannę wzrokiem z pewnej odległości. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło.

- Ewidentne zabójstwo. Pod wanną widać zwęglone kawałki desek. Zobacz, cały spód jest czarny. - Smith wymachiwał palcem wskazującym przed twarzą kolegi. - Wygląda na to, że ktoś chłopaka zabił, a potem ugotował. Gorzej, jeśli było odwrotnie.

- Odwrotnie? - Murray nie potrafił trzeźwo myśleć w tym odorze.

- Może ktoś wrzucił go nieprzytomnego do wanny i ugotował żywcem.

- Cholera! - Wszystko zaczęło powoli układać się w całość.

- Zakładamy, że wanna była wypełniona wodą. W drugim pomieszczeniu znaleźli kran i stare wiadra, więc sprawca lub sprawcy musieli się chyba najpierw natrudzić, żeby ją wypełnić. To, co teraz widać, to rozgotowane ciało w rozkładzie. Jednym słowem, zupa - stwierdził Steve.

- O identyfikacji na miejscu nie ma nawet mowy.

- Poczekamy na wyniki DNA, ale to na pewno ten chłopak. Stopa ma raczej rozmiar tego buta. Zresztą, Richard, któż inny mógłby to być? Przecież nie ojciec Malcolm.

Policjanci w bieli obeszlili wannę dookoła, przymierzając się do wyciągnięcia zwłok. Szczelne kombinezony, maski i rękawiczki zabezpieczały każdy skrawek ich ciał. Nic a nic nie mogło mieć styczności ze skórą. Znajomy koroner przyglądał się całej akcji z niewielkiej odległości. Nie widząc innej możliwości, jeden z funkcjonariuszy podszedł od strony wystającej stopy i objął ją od dołu palcami rękawicy. Zrobił krok w tył i pociągnął ostrożnie nogę do siebie. Widząc, jak ta wynurza się ze śmierzdzącej brei, kiwnął do kolegów z zadowoleniem. Noga wyłaniała się nienaturalnie łatwo. Po chwili nogawka spodenek do kolan stanęła w miejscu, a spod niej wylały strzępy rozgotowanej skóry i mięsa. - Niech to szlag! - Puścił stopę i jednym ruchem odwrócił się od wanny. Rozgotowana noga odkleiła się i płynnie zsunęła po puszczeli. Niemal wszyscy odwrócili się w tym samym czasie z głośnym jękiem obrzydzenia.

Nie była to normalna procedura, ale w Anterrey nic nie było normalne. Z uwagi na brak ciężkich przestępstw służby dysponowały dość podstawowym sprzętem, a i ten dotychczas się kurzył.

- Wychodzę stąd! - rzucił Steve i ruszył w stronę wyjścia.

Richard dotrzymał mu kroku.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego! Kto, do diabła, mógł coś takiego zrobić?!

- Najwyraźniej ktoś, kto posiadał umiejętności wszystkich najgorszych psychopatów świata.

- Nie sądzę, żeby ci bezdomni byli w stanie nawet o czymś takim pomyśleć, ale ich pierwszych trzeba przesłuchać. - Richard zdjął maskę, czując świeży podmuch powietrza z zewnątrz.

- Kobieta przed budynkiem chłopaki już sprawdzają. To ona znalazła ciało. Resztę też znajdziemy. To kwestia paru dni, nie więcej. - Steve mówił szybko, najwidoczniej zszokowany tym, co zobaczył przed chwilą.

Przed budynkiem stały zaledwie trzy osoby. Wszyscy rozproszyli się po pustostanie i okolicach w poszukiwaniu wskazówek, dowodów, a może kolejnych zwłok. Nie każdy widział z bliska to, co Richard. Większość nie miała odwagi podejść, ale podsłuchane rozmowy i wyobrażenia w pełni im wystarczyły, by wyrobić sobie pogląd sytuacji. Dzień był szary, jak zawsze, ale wyjątkowo jasny i radosny w zestawieniu z obrzydliwym, rozdzierającym żołądek miejscem zbrodni w opustoszałej szwalni. Richard Murray oparł się o radiowóz i patrzył na Steve'a z papierosem w ustach. Nerwowo oklepywał kieszenie spodni.

- Z nerwów nie mogę znaleźć zapalniczki! - Jego twarz, a zwłaszcza usta, drżała, mężczyzna wciąż nie mógł się otrząsnąć. - Richard, czy myślisz, że to dopiero...

- Początek? - dokończył Murray i zwiesił głowę w zamysleniu. - Nie wiem, stary. Staram sobie wmówić,

że to pierwszy i ostatni trup, ale moja intuicja niestety nie daje się przekonać.

– Nawet nie chcę myśleć, jak zareagują wierni, jeśli okaże się, że ojciec Malcolm również... – Steve nie dokończył zdania.

– Wiem, co masz na myśli. Musimy mieć nadzieję. – Richard klepnął kolegę w ramię i ruszył do samochodu. – Jadę na komendę. Tu już nic więcej nie możemy zrobić.

Nie powiedział tego głośno, lecz to nie osoba ojca Malcolma zajmowała mu teraz umysł. Twarz miał smutną, głowę wypełnił niepokój.

Tatiana!